Rok 1937 5 września Nr 36

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Or-Ot.

Anioł Pański

W szkarłatnym płaszczu nad Warszawą
Omdlałe słońce gaśnie krwawo,
Na granie dzwonka, jak w świątyni,
Dziwna się cichość w mieście czyni:
Ave Maria...
Do lazurowej lecąc toni
Srebrzysta piosnka dzwoni... dzwoni...
Ave Maria...

—:—

W poświacie słońca purpurowej
Chylą przechodnie smętne głowy,
W obłędnych lotów zawierusze
Zwijają skrzydła ludzkie dusze:
Ave Maria...
Na modrem niebie gwiazd Królowa
Niże jak perły, ciche słowa:
Ave Maria...

—:—

Pamiętną myślą wstecz podane,
Po starych kątach pełnych pleśni,
Słychać westchnienia: „Wskrześnij...
[wskrześnij"
Ave Maria...
W krótkiem, jak mgnienie, ożywieniu
Modli się kamień po kamieniu:
Ave Maria...

Na cichej Wiśle, na topieli,
Błędny się żagiel srebrnie bieli,
W zamierającej blasków tęczy
Chłop długowłosy kornie klęczy:
Ave Maria...
Od szarej fali po niebiosy
Z flisaczej tratwy szemrzą głosy:
Ave Maria...

—:—

W lotnym obłoku, śród cmentarzy,
Złoty się anioł z dzwonkiem waży:
Śpiące w spokoju i w cichości,
Dawno odeszłych drgnęły kości:
Ave Maria...
Daj zmarłym pamięć i płakanie,
Daj żywym wiarę i kochanie
Ave Maria...

—:—

(Jak już pisał swego czasu „Dzwoneczek", Or-Ot był przede wszystkim poetą starej Warszawy, dlatego też i jego zamieszczony tu „Anioł Pański" rozbrzmiewa w ukochanym mieście pieśniarza).

Gościnność skośnookich Chińczyków

Cały świat interesuje się obecnie wojną między dwoma azjatyckimi narodami: Japonią i Chinami. Japonia chce zupełnie zawojować ten olbrzymi kraj o wspaniałej niegdyś kulturze i potędze, lecz w ostatnich czasach osłabiony wewnętrzną niezgodą oraz podżeganiami komunistycznymi.

Osobliwe panują tam, a przynajmniej panowały, zwyczaje, bo dziś nad przeogromną tą krainą pastwią się najokrutniejsze klęski, jakimi są: wojna, głód, cholera, mór. Zalewa ją morze krwi i płomieni.

Chińczycy słynęli, jak w ogóle narody wschodnie, z niezwykłej gościnności, dla nas Europejczyków oczywiście śmiesznej i nie nadającej się do naśladowania. My mamy o gościnności pojęcie inne.

Otóż zamożny Chińczyk, urządzając przyjęcie, wysyła dwa zaproszenia. W jednym zawiadamia o mającym się

u niego odbyć przyjęciu, na który to dzień zapewnia, że „przyprowadzi do porządku maty i wymyje starannie dzbany wina“. Drugie pismo wysyła w przeddzień przyjęcia z oznaczeniem godziny posiłku, gdy już otrzyma zgodę ze strony zaproszonego.

O oznaczonej porze zjawia się gość w domu gospodarza i wręcza mu kartę zaproszeniową, którą odbiera z rąk służącego towarzyszącemu aż dotąd swemu panu. Gospodarz i gość wymieniają z sobą wzajemnie najbardziej grzeczne słowa, przy czym obaj prześcigają się w pomniejszeniu swojej osoby i godności. Zanim przejdą do jadalni piją herbatę.

Po herbacie „najznakomitszy“ z pośród zaproszonych, czyli t. zw. „główny“ gość, prosi wszystkich, by szli naprzód. czemu opierają się ci mniej znakomici, mówiąc, że nie mogą się na coś podobnego odważyć.

Największy jednak chiński ceremoniał odbywa się przy stole. Gospodarz zwraca się do „głównego“ gościa, wskazując mu zaszczytne miejsce przy stole, lecz ten znowu się opiera i zwraca się do innych gości, nazywając ich godniejszymi od siebie i prosząc ich o zajęcie owego miejsca. Wtedy jednak pan domu oświadcza, iż nikt nie może się z nim równać i wręcza gościowi pałeczki do jedzenia i filiżankę do wina, po czym obaj składają sobie głęboki ukłon. Taka sama ceremonia obejmuje wszystkich gości i dopiero po zakończeniu jej wszyscy siadają.

Już po trzecim lub czwartym daniu goście skarżą się, że jedzenia jest za dużo, chociaż dobrze wiedzą, że tych dań będzie jeszcze co najmniej dwadzieścia. Po takim „skromnym“ obiedzie gospodarz przeprasza swych gości za „liche“ przyjęcie i prosi ich o przebaczenie, że już nic więcej nie dostaną. Ostatnią potrawą jest zawsze zupa, po której wszyscy, ceremoniując się znowu, jak przedtem, przechodzą do salonu na herbatę.

Nic dziwnego, że przyjęcia takie trwają zwykle od południa do późnego wieczora. Po herbacie goście żegnają gospodarza, przepraszając go, że mu przeszkodzili, on zaś ich przeprasza za bardzo skromne przyjęcie i dziękuje za zaszczyt odwiedzin jego „podłej osoby“.

Tak kończy się nareszcie wizyta, pełna częstokroć wstrętnej obłudy, która niestety jest zwyczajnym rysem charakteru ludów Wschodu. Dla ludzi wychowanych w obyczajach prostych, szczerych jest to nie do pomyślenia, tym mniej zaś do naśladowania.

W otchłaniach wód

Różni bywają ludzie na świecie. Są tacy, których po za ich własną osobą nic więcej nie obchodzi. I takich nazywamy — jak wiadomo samolubami czyli egoistami. Ale na szczęście nie wszyscy są tacy.

Są więc ludzie, których myśl nigdy nie usypia, nigdy nie odpoczywa, nigdy nie zatrzymuje się dłużej na własnej osobie. Bardzo zatem rozmaite są zainteresowania takich ludzi. Nad czym innym pracuje myśl poety, muzyka, rzeźbiarza, w ogóle artysty. Dokoła czego innego krążą myśli tych, co się oddali w służbę Bogu, czy bliźnim; i znowu inne muszą być myśli uczonych, przyrodników, odkrywców, co sobie za nic mają największe trudności, niepowodzenia, przeszkody. Usuwają je z drogi spokojnie lub przemocą i idą dalej naprzód, narażając nawet swoje zdrowie i życie, byle osiągnąć cel upragniony.

Do takich należał m. in. Kolumb, który odkrył nieznaną a tylko przeczuwaną przez siebie nową część świata, Amerykę; do takich należeli odkrywcy obu biegunów i ich następcy, którzy rozumieli, że jedni zbadać wszystkiego nie mogą; do takich ludzi też należy zaliczyć tych wszystkich, co w przeciągu długich wieków przemyśliwali nad sposobami opanowania powietrza, aż wreszcie po niezli-

czonych próbach i śmiertelnych ofiarach stali się jego panami. Do takich też ludzi należy współczesny nam sławny prof. Picard, który wzniósł się ponad otaczającą cały glob ziemski atmosferę, tam, gdzie żadne stworzenie żyć już nie może.

Jednym słowem, wszędzie dociera myśl ludzka, wszystko chce umysł człowieczy zbadać, zdobyć i nad wszystkim zapanować. Pokonał więc powietrze, wdrążył się w głąb ziemi, nauczył nawet przebywać w głębinach wód — czy to w łodzi podwodnej, czy w specjalnych ubraniach nurkowych.

O czymś jednak jeszcze innym pomyślał i tego nieodparcie zapragnął dokonać nieustraszony podróżnik, badacz, zdobywca bezludnych wysp pod palącym słońcem klimatu tropikalnego, a zarazem rozmiłowany przyrodnik amerykański. William Beebe.

Mianowicie postanowił on zbadać czy istnieje i jakie życie istnieje w największych głębinach oceanów. Nie ulatwi tego łódź podwodna, bo ona tak głęboko opuszczać się w wodę nie może, nie ma do tego odpowiednich urządzeń i w ogóle dostosowana jest do innych celów. Nie ułatwi też tego i zwykły strój nurkowy, t. zw. skafander, bo w nim może się opuszczać człowiek najwyżej do 90 metrów, co jednak połączone jest z wielkimi niedogodnościami, a zresztą już w głębokości 45 m. ciśnienie wody jest tak olbrzymie, że wynosi 70 ton na powierzchnię ciała ludzkiego; musi więc skafander być wypełniony odpowiednio wielką ilością powietrza, które by równoważyło ciśnienie wody. Jeszcze głębiej można się opuszczać tylko w potwornie niezgrabnych strojach metalowych, ważących setki kilogramów. Pozwalają one na oddechanie pod normalnym ciśnieniem powietrza, ale zato prawie zupełnie uniemożliwiają nurkowi poruszanie się. W takich „strojach“ zanurzano się do głębokości 150 m. i po za tę granicę żaden człowiek żywy się nie przedostał, nawet dla łodzi podwodnej jest ona zbyt odległa.

Miał więc nad czym przemyśliwać uczony, jeśli chciał koniecznie zrealizować swój zamiar i dostać się w najgłębsze głębiny. Rzeczywiście przemyśliwał Beebe nad tym kilka lat, aż wreszcie przyjaciel jego, inżynier i konstruktor Barton nadał formę temu przedziwnemu przyrządowi, który miał spełnić pragnienia Beeba.

(Dalszy ciąg nastąpi)



Oto jedna z najwspanialszych roślin Ameryki Południowej t. zw. „królowa zwycięstwa“ (victoria regia) Właśnie upływa lat 100, kiedy poraz pierwszy zakwitła i w Europie — mianowicie w Anglii. Od tego czasu rozpowszechniła się po wszystkich wielkich miastach, gdzie istnieją cieplarnie. Olbrzymie jej liście wytrzymują ciężar 5-letniego dziecka.

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

Stromy spadek wzgórza, zasypany ruchomym piaskiem i odłamami skał, nie pozwalał na marsz szybki. Lecz chciwość wrażeń parła naprzód młodzieńca, który zapomniawszy, że się znalazł w dzikiej i nieznanej okolicy sam zupełnie, przeskakiwał z kamienia na kamień, grzązł mieraz w piaszczystym wądole i parę razy, gdy mu głaz jaki z pod nóg się wysunął, omało w przepaść nie runął; wreszcie z triumfem stanął na skale, gdzie ogłuszony hukiem fal rozbijających się o ciasny wąwóz i bardziej jeszcze rykiem lwów, zaspokoił swą ciekawość.

Prostopadłe niemal, skaliste ściany wąwozu, zraszane ciągle białawym pyłem wodnym, otwierały widok na wysepkę nieco większą od tamtej, na której wczoraj pierwszy raz lwy widzieli w innej stronie zatoki.

Tutaj na wyspę wyległo dziewięć samych samców o wspaniałych grzywach, jeden większy od drugiego.

Karol nie mógł dość napatrzyć się temu widokowi. Od okropnego łoskotu, potęgowanego ciasnotą miejsca w wąwozie, prawie już ogłuchł. Wiatr z ukosa zasypywał mu co chwila oczy ostrym pyłem guanowym z białego wzgórza, sterczącego naprzeciw jego posterunku na skale.

Zapragnął zbliżyć się do lwów bardziej i w tym celu obmyślił obejść, okrążyć wąwóz. Poskoczył na ową białą górkę guanową, mozoląc się strasznie, dostał się wreszcie na inne wzgórze piaszczyste sporymi głazami zasypane.

Tu u stóp swoich, o jakieś dwadzieścia kroków niżej, miał zaciszną odnogę zatoki, oblewającą ową wysepkę z dziewięciu lwami. Schowany za skałą, obserwował je teraz z odległości pięćdziesięciu kroków.

Lwy morskie, znane z lichego wzroku, nie mogły go dostrzec. Jedynie wiatr mógł by zdradzić im bliską obecność człowieka, ponieważ węch posiadają doskonały. Tymczasem wiało ciągle z boku, przeto żaden z lwów nie przeczuł niebezpieczeństwa.

Strzelba Karola nabita była kulami wybuchającymi, a strzał mógł dosięgnąć wysepki. Młodzieniec zmierzył, wybrawszy sobie na cel najwspanialszego samca. Wtem wiatr nagle zmieniwszy kierunek, zadął widocznie w tem sposób, iż zwierzęta zwietrzyły coś podejrzanego, poruszyły się zaniepokojone właśnie w chwili gdy myśliwy strzelił.

Huk powtórzony echem po wądołach i skałach, zgubił się w potwornym łoskocie, jaki bił ciągle z wąwozu w pomieszaniu z rykiem bestyj. Strzał chybił i tylko spłoszył lwy z wysepki. Porwały się z legowisk i w zamieszaniu uciekały do wody.

Tylko na końcu wyspy jakiś bardziej niż tamte ociężały samiec, zapewne dopiero rozbudzony, przeciągał się i rozglądał, jakby się dziwił ucieczce towarzyszów. Tego wziął teraz Karol na cel, chcąc powetować ogromny zawód, jaki go spotkał po pierwszej próbie.

Tym razem trafił, lecz ranione zwierzę w tej chwili ruszyło się z miejsca, dowlokło się do brzegu i dostawszy się do wody, zniklo w niej. Tylko wielka plama czerwona wskazywała, gdzie zatonął lew zraniony.

Tymczasem inne już odpłynęły daleko.

Młody myśliwy z żalem wielkim odchodząc z niczym, zaczął szukać drogi powrotnej.

Od jego wyjścia z namiotu minęło parę godzin. a pan Worms z Raulem niepokoili się już na dobre, nie widząc nie tylko powracającego Karola, ale i nie doczekawszy się łodzi z Chimbote. Obaj raz za razem wychodzili przed namiot nawołując pełną piersią, ale z nikąd nie było odpowiedzi.

(C. d. n.)

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 34:

Tury, fi, kontury — konfitury.